

Rozdział XXXIV

Na miejscu zetknęli się z chaosem. Policjanci krzyczeli na federalnych, federalni na policjantów, w tym huk i hałasie dochodziły krzyki poszkodowanych i składających skargi. Sprzęt elektroniczny leżał na każdym biurku i szafie. To wyglądało jak mobilne centrum dowodzenia NSA. Kable plątały się ze sobą i trzeba było uważać, by nie potknąć się o któryś z nich. Od ich ostatniej wizyty na komisariacie na Dziesiątej sporo się zmieniło: na ścianach powieszono kilka dodatkowych ekranów LCD, dowieziono więcej komputerów i zaangażowano w sprawę więcej agentów. Na Piątej Alei w Nowym Jorku w godzinach szczytu było ciszej i spokojniej.

William zauważył Sopera komenderującego kolegom po fachu i trzymającego w ręce palmtopa. W tym hałasie nie słyszał, o czym dyskutowali, ale z wyrazów twarzy można było wyczytać, że zmagali się z niemożliwym. „Ze złapaniem ducha w sieć” – pomyślał William.

– Dlaczego tu przyjechaliśmy? – zapytał William Willisa.

– Bo jesteśmy prawie pewni, że Rowan nas tutaj nie usłyszy i nie zobaczy.

Tak, tego mogli być pewni.

Z tłumu ludzi wyłonił się agent Turner. Podeszedł do nich i od razu przeszedł do rzeczy.

– Mamy trzy trupy – zaczął.

William i Sophie popatrzyli po sobie, nic nie rozumiejąc.

– A dokładnie trzech naukowców z Hopkins University w Baltimore – wyjaśnił, prowadząc ich wzdłuż

tymczasowych stanowisk pracy i kierując się do pokoju przesłuchań w północno-wschodniej części budynku.

Znaleźli się po drugiej stronie lustra weneckiego – tutaj można w nim było ujrzeć jedynie własne odbicie. Pokój wyglądał jak kopia tych z filmów: metalowy stół, cztery krzesła, kilka kamer monitoringu, dwie pary drzwi po przeciwległych stronach pomieszczenia i szafka z szufladami na zamek. Drzwi i ściany wyłożone były materiałem dźwiękoszczelnym, więc z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Delikatny półmrok i świecące diody włączonych kamer sprawiały niesamowite wrażenie.

– Z początku ich zabójstwa nie miały znaczenia. Sprawą zajęła się lokalna policja. Zabito ich tydzień temu, ale już po dwóch dniach sprawę oddano FBI. Gliny stwierdziły, że sposób, w jaki zostali zamordowani, przypomina robotę specjalisty, i rzucili to na nas. Ktoś się tym zajął, ale dopiero dwie godziny temu Soper coś znalazł; a nawet więcej niż coś.

– Czyli? – zapytał Willis.

– Pół roku temu otrzymali grant na badania w wysokości dziesięciu milionów dolarów.

– Ile?! – To zaskoczyło Williama. Nierzadko badacze otrzymują granty, ale rzadko takie sumy.

– Dziesięć milionów – powtórzył Turner. – Najlepsze w tym wszystkim jest to, że ofiarodawca pozostał anonimowy. Jako powód tej anonimowości podał, iż nie zależy mu na uznaniu, a jedynie na rozwoju nauki i takie tam gówna. Gówna prawda.

– Ale kto w prezencie wręcza takie pieniądze? – zapytał Willis, coraz bardziej zaskoczony.

– Właśnie. Badania, które prowadzili, miały na celu modyfikację genetyczną mikrobow.

W głowie Williama zawirowało. Puzzle wskakiwały na swoje miejsca. Właśnie to chciał im przekazać Rowan.

– Jezu słodki! On zamierza użyć broni biologicznej. Chce nas zaatakować, używając bakterii.

Te słowa wywarły ogromne wrażenie na obecnych w tym ciemnym pokoju. Turner i Willis wymienili się spojrzeniami, a ich miny zrzedły. Wszyscy znali realny poziom zagrożenia, wynikający z zastosowania broni biologicznej. Totalna zagłada. Katastrofa na olbrzymią skalę. Śmierć milionów ludzi. Zero kompromisów. Czyste zniszczenie.

– Musimy dowiedzieć się, jakie to były badania – odezwał się Willis.

– Nie ma szans – odparł Turner. – W dniu ich śmierci spalili i zniszczyli wszystkie dowody ich pracy.

Sophie pokręciła głową.

– Nie mamy pewności, że to był Rowan. Zamordowano naukowców. Ale mógł to zrobić każdy. Nawet nie wiemy, czy dostał to, czego chciał. Czy kamery coś zarejestrowały?

Turner zaprzeczył.

– To jest jedyne laboratorium w kompleksie, gdzie nie ma monitoringu. Wiemy tyle, że zginęli ludzie obdarowani dziesięcioma milionami na badania genetyczne mikroorganizmów. Ktoś, kto to zrobił, miał w tym swój cel. Przyszedł odebrać swoją nagrodę. Założę się, o co chcecie, że ma to, czego chciał. A osobą, która to ma, jest nie kto inny, jak Rowan.

– Trzeba powiadomić prezydenta – powiedział William.

Turner i Willis znowu wymienili spojrzenia.

– To nie wchodzi w grę – odparł Willis. – Nie możemy ryzykować większą paniką. Prezydent ogłosi stan wyjątkowy, a to będzie najgorsza z możliwych opcji. Jego doradcy wojskowi to tchórze. Nie możemy sobie na to pozwolić.

– Jeżeli Rowan jest w posiadaniu broni biologicznej, wiecie, czym to grozi. Nie możemy tego przemilczeć i udawać, że nic się nie stało.

– Owszem, możemy – rzekł Turner. – Zapominasz, kto tu rządzi, King.

William zszokował ton Turnera. Wyczuł w nim nie tylko chłód, ale i groźbę. „On mi grozi?!”

– Na pewno nie ty, Turner – bronił się. – Prezydent musi się o tym dowiedzieć.

William odwrócił się do niego plecami i ruszył ku drzwiom. Turner zwinnie i szybko jak lis dobiegł do drzwi i położył na nich rękę.

– Co, uwieźysz mnie? – Williamowi było już wszystko jedno. Przeżył dzisiaj zbyt wiele, żeby przejąć się czymś takim.

– Nie rozumiesz powagi sytuacji. Waszyngton znalazł się w stanie wojny z jednym człowiekiem. Zdajesz sobie sprawę, jakie reperkusje nam grożą? Gdyby teraz wyszło na jaw, że Rowan dysponuje arsenałem mogącym zagrozić całemu miastu, wiesz, co by się stało?

„Oczywiście, że wiem – pomyślał William. – Ale takich informacji nie chowa się do kieszeni. One powinny ujrzeć światło dzienne”.

– Odsuń się od drzwi! – rozkazał William.

– Obiecay mi, że nikomu nie powiesz. Przynajmniej do zakończenia ostatniego etapu. Jest za piętnaście jedenasta. Jeszcze dwie godziny. Jeżeli do tego czasu czegoś nie wymyślimy, prezydent się dowie. Obiecuję ci to.

William spojrział na Willisa. Ten pokiwał głową na znak, że zgadza się z decyzją Turnera. Nie spodziewał się tego po nim. Wydawało mu się, że Willis sięga dalej, poza statystyki socjologiczne i spadki akcji giełdowych. Być może podchodził do tego zbyt obcesowo i etycznie, ale tu chodziło o ludzkie życie. O miliony ludzkich istnień.

– Dobrze – zgodził się William. – Do pierwszej. Potem dzwonicz do prezydenta.

Nadusił klamkę w drzwiach. W tym samym momencie rozległ się sygnał dzwonka komórki Turnera.

Radiowóz policyjny stał zaparkowany na Madison Drive. Ulica była opustoszała, a to nie lada wyczyn. Zwykle nawet o tej godzinie była zapchana i zakorkowana. Ale dzisiejszy wieczór różnił się znacząco od pozostałych. Strach powstrzymywał ludzi od podróżowania w obecnych okolicznościach.

Collins i Barthew pili ze styropianowych kubków gorącą lurę z pobliskiego baru. Już godzina bez wezwania do interwencji wydawała się błogosławieństwem. Oni siedzieli na Madison Drive od dobrych dwóch godzin i na razie nie zapowiadało się, by rozkoszna chwila ciszy dobiegała końca.

Ich uwagę przykuł widok dziesięciu osób niosących transparenty z liberalnymi hasłami; grupa w ciszy przechodziła obok radiowozu. Jej członkowie rozmawiali ze sobą, ale bardziej przypominało to żałobny marsz niż jakąś demonstrację.

Collins czytał hasła i się uśmiechał.

Żądamy bezpieczeństwa.

Precz z tchórzliwym rządem.

W słabości urośnie siła.

– Co to jest, do cholery?! – zapytał Barthew.

– Nie mam pojęcia. Dochodzi dwudziesta trzecia. Nie otrzymaliśmy żadnej informacji o demonstracji.

– To są jakieś świry. Zostaw ich.

– Nie mam najmniejszej ochoty robić czegokolwiek.

Kawa sama się nie wypije.

– Ty nazywasz to kawą?

Mały pochód skręcił w kolejną ulicę i zniknął policjantom z oczu. Collins połączył się z centralą przez radiostację.

– Tu czwórka. Nie wiecie czasem, co się dzieje w centrum? Jakaś demonstracja czy coś?

Radio zatrzeszczało. Przez chwilę dochodziły z niego tylko szумы, ale zaraz potem usłyszeli odpowiedź.

– Jesteście najbliżej Washington Mall. Jedźcie tam natychmiast.

– Co się stało? – Collins spojrzął z przestachem na Bartheua.

– Od dziesięciu minut wzywamy jednostki. Nie słyszeliście?

„Pieprzone radio!” – pomyślał. Już tydzień temu miał komuś zgłosić usterkę, ale ciągle coś go zaskakiwało. Już słyszał solidny opieprz od przełożonego. Stary pierdziel będzie miał używanie.

– Już jedziemy, ale co się dzieje?

Z radia wydobyły się szумы i piski. Collins przewrócił oczami i ze złością uderzał w plastikową obudowę. W sumie usłyszeli tylko kilka słów.

– ...Washington zamieniło... kocioł... setki... gromadzą się...
Barthew przełknął głośno ślinę.

– Nie brzmi to dobrze.

– A co brzmi, do pieprzonej cholery?!

Collins przekręcił kluczyki w stacyjce. Sinik odpalił i policjant ruszył tak szybko, że obydwóch wbiło w fotele. Wjechali na Piętnastą i stali się świadkami zjawiska socjologicznego, które umarło dawno temu śmiercią naturalną. Najwyraźniej jednak powróciło do życia niczym Łazarz, i to w o wiele lepszej formie.

Mrowisko zbudowane jest na prostej zasadzie: hierarchia przede wszystkim. Miliony jednostek z przydzielonymi zadaniami spełniają oczekiwania królowej i tworzą harmonijną całość, opartą na zaufaniu i wzajemnych relacjach. Tak wygląda życie w mrowisku.

Na to nie był przygotowany nikt. Tysiące ludzi z transparentami, tabliczkami i flagami zebrało się tłumnie przy Pomniku Waszyngtona. Nie liczył się kolor skóry, wyznanie, płeć ani orientacja seksualna – tysiące mężczyzn i kobiet zebrało się w jednym celu, wykrzykując przeróżne hasła i żądania. Tej ciemnej nocy ci wszyscy ludzie skupieni obok siebie i zrzeszeni w solidarności otoczyli Pomnik Waszyngtona niczym wzburzona fala morska samotny statek. Z lotu ptaka wyglądało to tak, jakby mityczny gigant zwałił się swoim masywnym cielskiem na ziemię i unosił swoją stu-siedemdziesięciometrową rękę w geście porażki.

Różnica polegała na tym, że ten tłum nie wkalkulował w swoje plany porażki. Rzeczą szalenie zaskakującą, graniczącą z cudem był fakt, iż to mrowie było tak ciche, że ani Collins, ani Barthew nie usłyszeli tak ogromnego zgromadzenia, choć ich radiowóz dzielił od tłumy ledwie kilometr z hakiem.

Na niebie pojawił się helikopter. Z boku wypisane miał czarne litery MPDC, czyli policja waszyngtońska kontrolowała już niebo. Pilot maszyny ze zdumienia oniemiał i wyłączył swoją świadomość. Gdy widziało się tysiące, jeżeli nie setki tysięcy ludzi z wysokości ponad pięciuset metrów,

włączała się w umyśle ostrzegawcza lampka: *to niemożliwe*.
Pomiędzy jednym hasłem a drugim, wzniośle unisono wykrzykiwanymi przez ludzkie gardła, następowała całkowita cisza, a po niej przechodził delikatny szum, niczym powiew wrześnieowego wiatru wśród wysokich gałęzi gęstego lasu.

*

Collins wpatrzony w obraz, który miał przed oczami, sięgnął ręką po nadajnik radiostacji. Przez chwilę nie mógł wymówić słowa, zdrząły mu wargi i język zwinął się w supeł. Dopiero po pierwszym szoku zdołał zapytać kogoś w centrali:

– Macie pojęcie, co się tu dzieje?

– Demonstracja – usłyszał wśród trzasków i szmerów. – Kilka setek ludzi nielegalnie zgromadziło się w Washington Mall. Wysłałem jeszcze dwa patrole.

– Kilka setek? – Collinsowi zdrzął głos. – Ich jest tysiące, a może nawet setki tysięcy!

Odłożył nadajnik i wyszedł z radiowozu. Barthew niepewnie popatrzył na partnera i również wyszedł, rozglądając się nerwowo. Stanęli przed maską samochodu i szeroko otwartymi oczami podziwiali siłę zbiorowej świadomości.

Michael Felton wyłonił się spośród ruchomej pokrywy kurtek i płaszczy. Drewniane prowizoryczne podium zostało ustawione przy Pomniku Waszyngtona. Mężczyzna dumnym i sprężystym krokiem wspinał się po kolejnych stopniach, ukazując swoje niewzruszone oblicze. Cichy pomruk tłumu przemienił się w głośne skandowanie. Ludzie przesuwali się i popychali, byle tylko zobaczyć przywódcę protestu, który miał przejść do historii.

Felton uniósł wysoko ręce i uśmiechnął się przyjaźnie. Ojciec witał swoje zagubione dzieci. Odebrał od stojącego pod podium Paula Pollocka megafon i włączył go.

– Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają⁸.

Wszyscy ucichli. Słowa Feltona odbiły się echem i rozplynęły w powietrzu. Ciszę przerywały uderzenia śmigieł policyjnego helikoptera i dźwięk syren nadjeżdżających wozów patrolowych.

– Ileż prawdy mieści się w tym zdaniu. Każdy z nas odgrywa w życiu rolę. Każda rola jest ważna i wnosi wkład w kulturę naszej cywilizacji. Każda rola jest trudna do zapamiętania. Żadnej z tych ról nikt z was nie nauczy się na pamięć. Żadnej się nie pozbędzie, żądając wyższej stawki. Stawka jest ustalona z góry. Dla każdego z was góra oznacza coś innego. Dla jednych jest nią Bóg, dla drugich Gaja, a dla trzecich Porządek Świata. Ale dla każdego z was góra

⁸ Cytat z Szekspira, ang. *As you like it?*.

oznacza również to samo. Nadzieję. Macie nadzieję na to, iż wasza Rola zostanie przekształcona, gdy źle wypadniecie na scenie. Iż wasza Rola okaże się najlepszą. Iż wasza rola będzie tylko waszą Rolą. Nikt, ale to nikt nie może jej zmieniać. Tylko góra może to zrobić.

Śmigła helikoptera kręciły się wokół własnej osi. Wirnik nie przestawał nadawać im obłądnej prędkości. Przed Washington Mall stało osiem radiowozów. Kolejne nadjeżdżały z różnych części miasta. Coraz więcej ludzi wychodziło z głównych ulic, uliczek i zakrętów z protestacyjnymi hasłami na tabliczkach i koszulkach i zmierzało pod Pomnik Waszyngtona. Wielka czarna kropla powiększała swój obwód.

– Pytam was: dlaczego więc jeden człowiek zamierza zmieniać podstawowe prawo? Dlaczego jeden człowiek chce zmienić nasze role? I dlaczego ludzie, którzy nami rządzą, nie robią nic, by tego człowieka powstrzymać?

Jego wypowiedź uwypuklił entuzjastyczny ryk wielu tysięcy gardeł.

– To jest nasz czas. Musimy pokazać, że jesteśmy silni. Człowiek o nazwisku Carol Rowan chce, byśmy udowodnili naszą siłę. Klnę się na Boga, że tak właśnie zrobimy. Jestem z wami! Czy wy jesteście ze mną?

Kolejna salwa doniosłego krzyku potwierdziła, że ci ludzie są z Michaelem Feltonem. Po policzku Feltona spłynęła łza szczęścia.

– Nie tak dawno temu nasi przodkowie pokazali, że są w stanie ujarzmić niedoskonały system. Geniusz Martina Luthera Kinga Juniora oświecił nam drogę do nieosiągalnych marzeń. Miliony Afroamerykanów dostało szansę na lepszą przyszłość. Później o tę lepszą przyszłość walczyły kobiety. O wolność walczyli rdzenni Amerykanie, matki zatroskane o życie swoich dzieci. Protesty przeciwko wojnie, seksizmowi, rasizmowi, szowinizmowi, nacjonalizmowi... Wszyscy walczyli o lepsze jutro. My, zgromadzeni

dzisiaj, walczymy o lepsze dzisiaj. Walczymy o to razem. I powiadam wam – z każdym następnym słowem Feltona hałas potęgował się, aż w tym momencie doszedł do pewnej nieprzekraczalnej granicy – że ten protest, ten Marsz Bezpieczeństwa, zapisze się w historii Stanów i świata jako największy, najpotężniejszy i najważniejszy. Bo jesteśmy tu razem, stoimy ramię w ramię, różni rasowo, płciowo i wyznaniowo, zgromadzeni dla jednego celu: bezpieczeństwa!

*

Furgonetka zatrzymała się przed znakiem stopu. Rozsunęły się drzwi i wysiadł z niej Jeff Black z Tommym.

– Czekaj tu na nas – powiedział Black do kierowcy. – Szybko! – To było skierowane do Tommy’ego.

Z kamerą i mikrofonem pospieszyli opustoszałą ulicą w kierunku źródła hałasu. Nawet z tej odległości dostrzegali kontury zgromadzonych gęsto postaci. Zapowiadała się sensacja roku.

Mężczyźni zatrzymali się w pół kroku, wpadając na siebie. Na widok rzeszy ludzi zlepiających się w jeden niewyraźny kształt na chwilę odebrało im mowę. Czegoś takiego nie widział żaden z nich.

– Czy to właśnie tak wyglądało w sześćdziesiątym trzecim? – zapytał oniemiały Tommy, ledwo trzymając kamerę na ramieniu, które opadło z wrażenia.

– Nie, mój przyjacielu. Tak wygląda to teraz. Kręcimy.

Black odwrócił się plecami do tłumu i spojrział w obiektyw kamery. Wyciągnął komórkę i wybrał numer.

– Cole? Słuchaj, musisz puścić mnie na żywo... Nie obchodzi mnie to... Co?! Albo puszczasz mnie na żywo, albo jutro składam wypowiedzenie na twoim biurku. Wiesz, że jestem najlepszy... Tak, oczywiście... Nie pożałujesz.

Rozłączył się. Schował komórkę do kieszeni jeansów, które przynosiły mu szczęście, i puścił oko do Tommy’ego.

– Idziemy na żywo, puść sygnał.

Tommy puścił sygnał, zapaliła się czerwona lampka i Black znalazł się na wizji.

– Jeff Black, wiadomości dla telewizji ABC. To jest przekaz na żywo, żadna ze scen nie została sfabrykowana. Znajduję się w Washington Mall, przy Pomniku Waszyngtona. To, co widzą państwo w tej chwili za moimi plecami, to prawdopodobnie największe zgromadzenie protestacyjne w historii naszego kraju. Trudno ocenić liczbę protestujących, ale mogę zapewnić, że przekracza ona sto tysięcy osób. Ludzie wykrzykują hasła o bezpieczeństwie i o prawach obywatelskich. Ma to oczywisty związek z wydarzeniami dzisiejszego dnia. Ludzie stracili poczucie bezpieczeństwa i żądają od rządu działań.

Tommy dał Blackowi znak, że za jego plecami coś się dzieje. Ten odwrócił się i od razu wypatrzył to samo.

– Tommy, zrób zbliżenie. – Kamera pokazała sylwetkę wysokiego mężczyzny wspinającego się na podium całkowicie przesłonięte przez tłum.

– *Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzi i znikają. Ileż prawdy mieści się w tym zdaniu. Każdy z nas odgrywa...*

– To zapewne przywódca protestu – skomentował Black, znowu odwracając się plecami do tłumy, i spojrzał w obiektyw. – Jesteśmy świadkami wydarzenia, które zostanie wpisane do szkolnych podręczników. To... trudno mi znaleźć odpowiednie wyrażenie... to... świt nowego jutra. Zupełnie nowego porządku. Świata, który znamy i w którym się wychowaliśmy.

Black zamilkł i pokazał, żeby Tommy nagrywał przemówienie czarnoskórego mężczyzny.

– *To jest nasz czas. Musimy pokazać, że jesteśmy silni. Człowiek o nazwisku Carol Rowan chce, byśmy udowodnili naszą siłę. Klnę się na Boga, że tak właśnie zrobimy. Jestem z wami! Czy wy jesteście ze mną?*

Kamera obróciła się o kilkadziesiąt stopni, ukazując ogrom zgromadzenia. Potem obraz przechylił się i w tle pojawił się policyjny helikopter. Reflektorem oświetlał czarne morze, wyłaniając z niego jasne plamy światła.

– Niebo kontroluje policja. Niedaleko mnie zaparkowanych jest prawie tuzin radiowozów. Od historycznego Marszu Miliona Mężczyzn zakazano zgromadzeń o gargantuicznych rozmiarach. Widocznie poczucie bezpieczeństwa stoi w hierarchii wartości wyżej niż prawo. Nie wiem, jak rozwine się sytuacja, ale zapewniam, że na bieżąco będę informował o wszystkim. I proszę pamiętać, że Jeff Black był tu pierwszy. Dla stacji ABC z Washington Mall mówił Jeff Black.

Czerwona lampka zgasła i Tommy opuścił kamerę.

– Mamy Pulitzera w garści, mój przyjacielu – rzekł Black, uśmiechając się od ucha do ucha.

W tej samej chwili odezwała się jego komórka.

– Tak?... Mówiłem ci... Wiem, wiem. Chcę podwyżkę... Jutro dam ci odpowiedź. Na razie bądź przygotowany, niech nie gaszą światła w studio. Czuję, że to będzie najdłuższa noc Stanów Zjednoczonych.

Rozdział XXXVIII

Wszyscy znieruchomieli. Turner niepewnym ruchem wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Jak się spodziewał, numer był zastrzeżony. Odebrał połączenie i włączył tryb głośnomówiący.

– Zmiana reguł – usłyszeli głos Rowana. – Tym razem nie będzie żadnych zagadek. Podam wam dokładną lokalizację ostatniego etapu, ale pod jednym warunkiem. Tylko ty, Williamie, się tam zjawisz. Nikt inny. Jeżeli będzie z tobą choćby jeden agent, zginiecie obaj i zmiotę z powierzchni ziemi cały budynek. Chodzi o MedStar Washington Hospital Center⁹. Masz tam być punkt pierwsza. Sam. Inaczej żaden z pacjentów nie wróci już nigdy do domu.

Połączenie zostało zakończone.

– Co robimy? – spytała Sophie.

Ani Turner, ani Willis nie odpowiedzieli. Williamowi serce biło tak szybko, że zakręciło mu się w głowie.

– Słuchamy – przerwał milczenie Willis. – Nie możemy więcej ryzykować. Ten czub zrobi, co powiedział. Pytanie, czy jesteś na tyle silny, żeby pójść tam sam. – Willis spojrzał na Williama.

„Oczywiście, że nie – pomyślał William. – A któż normalny by był?”

– Dam radę. – Mimowolnie zerknął na Sophie. Jej blada twarz połyskiwała w tym skromnym świetle.

⁹ Kliniczny szpital Dystryktu Kolumbii.

Poczuł, jak coś dziwnie ukuło go prosto w serce. Nie zamierzał tego poczuć, nie myślał o tym w taki sposób. Ten ciągły bliski kontakt z Sophie obudził w nim coś, czego nigdy nie doznał. Nie miał pojęcia, czy to była jej, czy jego wina. To nie był odpowiedni czas na takie rozważania.

– Mamy dwie godziny czasu – rzekł Turner. – Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma.

Sophie kaszlnęła.

– Wiem, co powinniśmy zrobić. Musimy zacząć zapobiegać, a nie działać. I to jeszcze tak, że efekty mamy po fakcie.

– Co masz na myśli? – zapytał Willis.

– Musimy polecieć do West Point. W stanie Nowy Jork.

Wszystkich zamurowało. William spojrzął z podziwem na Sophie. Tylko silna kobieta potrafiłaby postawić na swoim.

– Wszystko układa się w jedną całość. Rowan zostawił gazetę z artykułem o West Point. Potem ta lista zabytków. Ciągłe powtarza, że Stany są słabe. Najlepszym sposobem na udowodnienie czyjejś słabości jest uderzyć w docelowy punkt, który stałby się symbolem. Akademia wojskowa w West Point jest idealnym celem.

Federalni szukali właściwej riposty, ale nic sensownego nie przychodziło im do głowy. Im dłużej William się nad tym zastanawiał, tym bardziej oczywisty stawał się fakt, że Sophie miała rację.

– Rozumiecie? Atak biologiczny przeprowadzony na tak newraliczny punkt imperium.

– Jeżeli masz rację... – zabrał głos Turner – jeśli ją masz, musielibyśmy teraz powiadomić prezydenta.

Willis rozluźnił krawat pod szyją. Któryś raz z kolei wymienił znaczące spojrzenie z Turnerem. Prezydent był kotem, a oni myszami. Gdyby kot się dowiedział, że myszy harcują, i to na najwyższym poziomie cynizmu, połknąłby je w całości.

– Wybierajcie: panika na ulicach czy śmierć wielu, wielu niewinnych ludzi i globalna katastrofa. – Sophie grała tylko jedną kartą. Za to najlepszą w talii.

Turner wyciągnął komórkę i wybrał numer. Po pierwszym sygnale oczekiwania połączył się z biurem prezydenta.

– Agent specjalny Turner. Proszę połączyć mnie z prezydentem.

Po kilkunastu cennych sekundach burzliwej rozmowy z frajerem po drugiej stronie telefonu i potwierdzeniu swojej tożsamości Turnerowi udało się połączyć z prezydentem.

Odłożył słuchawkę i wziął głęboki oddech.

„Więc ten szalenciec planuje zaatakować serce naszej wojskowości – pomyślał z przerażeniem Cromwell. – To jest niemożliwe, nigdy nikomu nie udało się tego zrobić. To jest to samo, jakby chciano zrabować Fort Knox – czysta imagi-nacja”.

Podszedł do antycznego kredensu z osiemnastowiecznej Francji Ludwika XV i wyciągnął kryształową karafkę z wodą mineralną. Nalał do połowy do równie kunsztownie zdobionej szklanki i wypił całość kilkoma haustami. Woda zawsze pozwalała mu skupić myśli.

Usiadł na jednej z dwóch sof Domingo Salottiego Barocco z litego drewna, wypełnionych pianką poliuretanową.

Nigdy nie przypuszczał, że w taki właśnie sposób wpisze się na karty historii. Prezydent, za którego kadencji jeden terrorysta zdominował stolicę i wyrznął w pień setki ludzi, pozostając niewykrytym i nieuchwytnym. Nie o takiej prezydenturze marzył.

Zaczął jako asystent podrzędnego polityka z Departamentu Skarbu. Był młodym i ambitnym politykiem. Dobrze przemawiał, potrafił zaleźć za skórę niejednej grubej rybie, mówić to, co myślał. Dzięki tym cechom zasiadł w Izbie Reprezentantów, by po ośmiu latach sprawować urząd kongresmana w senacie. Po trzech latach pracy w wyższej izbie postanowił kandydować. Niestety przegrał pierwszą turę. Jego konkurenci mieli więcej funduszy na kampanię i większe zaufanie wśród wyborców. Nie poddał się jednak. Przez cztery

kolejne lata współtworzył ważne politycznie ustawy, w tym te tak zwane *ekoustawy*, podejmujące niezwykle ważne problemy w zakresie ekologii i ochrony przyrody. I to dzięki jego żonie Susanne udało mu się wyrobić sobie opinię polityka dbałego i szczegółowego, z charakterem, niebojącego się trudnych wyzwań. Po wielu latach małych zwycięstw i dużych porażek, nieustannych prób wybicia się na szczyt, otrzymał od obywateli najważniejszy urząd świata. Został pierwszym czarnoskórym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Teraz siedział na luksusowej włoskiej sofie, pił wodę ze szklanki wartej tyle, co dobry telewizor plazmowy, i rozwiązywał problem o globalnej skali. Życie potrafi być przewrotne.

Uśmiechnął się do siebie. Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał wewnętrzny numer Pentagonu. Po krótkiej rozmowie i wydaniu dyrektyw odłożył słuchawkę, nalał sobie drugi raz wody i stanął przy oknie. Ogród prezydencki swą wyśmienitością i charakterem dorównywał ogrodom w Wersalu i Balmoral Castle. W głównej mierze była to zasługa jego żony, która miała rękę do florystyki. Jej delikatne usposobienie budziło w nim podziw od chwili, gdy ją poznał.

Nagle do gabinetu wszedł Thomas Polsonnick, jeden z sekretarzy biura prezydenckiego.

– Proszę włączyć telewizor, panie prezydencie – powiedział natychmiast.

Na jego twarzy malował się lekki strach.

Cromwell włączył. Nawet nie musiał przełączać kanału. Na każdym było to samo. Tysiące ludzi protestujących przy Pomniku Waszyngtona.

– *Niebo kontroluje policja. Niedaleko mnie zaparkowanych jest prawie tuzin radiowozów. Od historycznego Marszu Miliona Mężczyzn zakazano zgromadzeń o gargantuicznych rozmiarach. Widocznie poczucie bezpieczeństwa stoi w hierarchii wartości wyżej niż prawo. Nie wiem, jak rozwinie się sytuacja,*

ale zapewniam, że na bieżąco będę informował o wszystkim. I proszę pamiętać, że Jeff Black był tu pierwszy. Dla stacji ABC z Washington Mall mówił Jeff Black.

Cromwell odwrócił się do Polsonnicka, trzymając w ręku pilot, który lekko, ale zauważalnie, drżał.

– Co się dzieje z naszym krajem?! – zapytał retorycznie z przerażeniem w głosie.

– Departament obrony zaczął już działania. Cała policja zebrała się w jednym miejscu. Ale ludzie wciąż przybywa. Podobno zebrało się dotąd ponad trzysta tysięcy.

Prezydent zmarszczył brwi. Zakręciło mu się w głowie.

– Jakie rozkazy? – zapytał Polsonnick.

– Posłać Sikorsky’ego na komendę przy Dziesiątej. Niech zawiezie naszych ludzi do West Point. Udzielam im pełnej autoryzacji. Co do demonstracji: niech policja kontroluje sytuację tak długo, jak to jest możliwe. Ale pod żadnym pozorem niech nie używa siły i ostrej amunicji. Ci ludzie zgromadzili się tam z powodu naszej nieudolności. Pokażmy im, że jesteśmy z nimi duchem i ciałem. Jadę tam.

Polsonnick otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Nie może pan, panie prezydencie. Tam jest zbyt niebezpiecznie.

– Kurwa, nie mów mi o niebezpieczeństwie! Ilu naszych obywateli zginęło dzisiaj? Każdy na terenie Dystryktu jest narażony na działania tego szaleńca. Jeżeli oni się narażają, ja również. Przygotuj samochód. Będę za dziesięć minut.

Sekretarz biura pokiwał głową i wyszedł z Gabinetu Owального. Cromwell wyjrzał przez okno i ujrzał łopocącą na wietrze flagę kraju. „W tych barwach kryje się cała nasza historia” – pomyślał. Jako ojciec narodu miał obowiązek znaleźć się w miejscu, gdzie powstawał opór względem tyranii. W miejscu, gdzie rodziła się historia.

Rozdział XL

Zostali na chwilę sami w pokoju przesłuchań.

– Uważaj na siebie, Williamie – powiedziała z troską Sophie.

– Nie zamierzam inaczej. – Uśmiechnął się posepnie.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Sophie nie widziała w jego oczach strachu, ale determinację. Od chwili, gdy go poznała, zadziwiał ją. Nie był zwykłym, nudnym wykładowcą. W tak wielu aspektach przypominał jej męża, którego pokochała właśnie za determinację. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ostatnie godziny zbliżyły do siebie ją i Williama. Czuła się po części winna, myśląc o czymś takim w tych okolicznościach. Zwłaszcza że nadal nie wyszła z żałoby po śmierci ukochanego. Zawsze starała się pozostawać silna wobec zdarzeń, które ją spotykały, i sprostać każdemu problemowi. Ale problem miłości był tym wyjątkiem.

Przyłożyła ręce do głowy Williama. Poczowała, jak jego ciało drgnęło.

– Nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Obiecuj mi, że zrobisz wszystko, żeby do mnie wrócić.

William oniemiał. Fala przyjemnego gorąca rozeszła się po jego całym ciele. Serce waliło jak oszalałe.

– Obiecuję. I muszę coś jeszcze powiedzieć.

– Nie – zaprotestowała Sophie. – Nie teraz. Jeszcze przyjdzie na to czas.

Pocałowali się. Ich usta połączyły się, stając się jednością. William położył ręce na jej biodra i przycisnął ją do siebie. Oboje pragnęliby, by ten moment trwał wiecznie. Żeby nigdy się nie skończył.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Willis. William i Sophie odskoczyli od siebie, jakby porażeni prądem.

– Za chwilę przyleci po nas helikopter. A ty, Williamie, poczekaj tutaj, na komisariacie. Jeden z naszych agentów zawiezie cię do MedStar. Czas nam się kończy. Musimy już iść, Sophie.

Udał, że nic go nie zaskoczyło, i jak gdyby nigdy nic zamknął drzwi.

– Obiecałeś – rzekła przed wyjściem z sali Sophie. – Pamiętaj.

„To prawda – myślał William – obiecałem. Muszę dotrzymać obietnicy”.